

Wierszybajka Przedstawia:

Księgi Solenzonu, czyli Dysku Słońca, jednego z wielu światów odkrytych dzięki wyobraźni i wierze w niemożliwe.

Opowieść pierwsza:

Dziwna podróż ku Słońcu

Pióra mistrza Perro Plata

Prorocstwo Słońca *Ware- evo*

„Pewnego gasnącego dnia, stworzenia, którym czegoś brak powędrują ku Słońcu i odkryją wielką prawdę. Rozgłoszą wieść i powołają nowych strażników pamięci. Zakończą waśni...”

(fragment oryginalny zachowany wykuty w skale na dnie lodowego jeziora Devoe w Jeror na Dalekiej Północy)

– *Moja opowieść zaczęła się w erze Szóstego Słońca – rzekł staruszek, opierając się na lasce. Zasiadł w swoim fotelu, dzieci już na niego czekały. Zapanowało radosne podniecenie. Wszystkie kochały historie pradziadka. Walczył on bowiem ze Słońcem i widział kraje za górami. Pomimo wieku, zawsze nosił przy sobie miecz, jak przystało na wojownika i gdyby nie uszkodzona noga pewnie obywatłby się bez sosnowej laski o złoconej główce. Mężczyzna uśmiechnął się do liczego grona.*

– *Jesteście pewni, że chcecie to jeszcze raz usłyszeć?* – zapytał, odpowiedziało mu gromkie: **TAK!**

Siedzący w rogu sali mężczyzna wyciągnął mały notatnik i drobnym, starannym pismem notował słowa starszego pana.

Rozdział 1 :

Ten bez imienia

Od najmłodszych lat pracowałem w polu, lecz tamtego dnia było wyjątkowo ciężko. Po pierwsze duszna i parna pogoda, wyciskała mi pot z czoła, który lał się cienką stróżką.

Po drugie, moje zwierzę najpierw nie chciało dać zaprzęgnąć się do pługu, a potem udawało, że mnie nie słyszy. Dochodząc do połowy pola zdałem sobie sprawę, że powstały na ziemi wzór przypomina fale na jeziorze. Miałem więcej niż pewność, że sąsiedzi będą się śmiać z nieudolności bezimiennego.

Prosiłem, pytałem, stworzenie nie chciało mi odpowiedzieć. Słowa porozumienia trafiały w uparte zazo jak groch rzucany o ścianę, albo jak mawiają w naszych stronach: jakbyś zechciał rozłupać orzechem szerszy, orzech bahatu.

W tamtych czasach nie miałem imienia, stanowiło to powód wielu osobistych problemów i rozterek. To ze mnie miało chichotać jakieś pół wsi. Zaś wspomniane już zazo jest czymś podobnym do wołu.

To istota nieco dziwna, jak wiele innych żyjących w moich stronach. Oczywiście dla mnie ich istnienie od zawsze było czymś oczywistym, jak dla was błękit nieba i zieleń traw, ale opowiedzmy wszystko po kolei.

Mówiąc o zazo, że było podobnym do wołu mam na myśli jego posturę i zastosowanie. O ile to szarozielone stworzenie jest w humorze stanowi wysokiej klasy siłę roboczą. Można je zaprzęgać do pługów, wozów, albo jeździć na jego grzbiecie. Nie jest to bardzo wygodny sposób transportu, ale niektórzy wielcy panowie na pokaz ujeżdżają swoje łąkowe byki.

Zazo nie lubi być traktowane jak zwykle zwierze, ponieważ potrafi nieco mówić i choć nie jest typem bardzo rozumnym ma ogromne poczucie własnej wartości. Potraktowane batem rozgłosi swoją krzywdę wszem na cały swój gatunek. Gdybym chciał zyskać tysiące wrogów, po czas niezmierny mógłbym sprać je, jak powiedzmy dużą, niebieską gąsienicę, nazywaną friną, ale wołałem nie ryzykować.

Zwierze milczało od samego rana, a to stanowiło już powód do większych obaw. Przyczyny mogły być dwie.

Jeśli spodziewało się małych, można było by się cieszyć. Za małe zazo można by otrzymać równowartość sporego pola lub małej chatki, razem z niewielkim kawałkiem ziemi. Radość mojej mamy nie miała końca, gdy znalazła bezpańskiego cielaka na naszym polu. Nikt się po niego nie zgłosił, być może ze względu na nieco wybujałe poroże. Nasz dom nie jeden raz był przytułkiem dla niechcianych

stworzeń.

Znów należy wyjaśnić, że zazo rozmnaża się przez podział, jak niektóre rośliny. W odpowiednim czasie dorosły osobnik rozpada się na kilka mniejszych.

Lecz jeśli nie to stanowiło problem, należało spodziewać się „gniewu przyrody,” powodzi, albo trzęsienia ziemi. Stworzenia związane z naturą znacznie bliżej niż ludzie potrafią przewidywać klęski. Czy zatem mogło nas czekać coś takiego?

Dzień zdawał się najgorętszym podczas trwania tamtego przedlecia. Było bezchmurnie i wyjątkowo wilgotno... „Może nadchodzi susza.” – wnioskowałam marszcząc czoło w zamyśleniu.

Moja mama mówiła, że za jej dzieciństwa, każde lato zaczynało się właśnie taką pogodą, lecz moje własny szczenięcy czas upłynął pod znakiem wiosennych mgieł i burz. Wielu rolników narzekało na ten stan, a inni radzili sobie na przykład siejąc inne niż do tej pory zboża.

Spojrzałem w górę, powinno dochodzić południe, ale Słońce było stanowczo za nisko.

W tej samej chwili zobaczyłem Amalę, kobietę która powołała mnie na ten świat.

– Mamo czemu tak biegniesz? – Zapytałem, z uśmiechem, była ubrana w swój najlepszy, odświętny strój. Odszedłem od pług i zbliżyłem się do miedzy, by nie musiała wchodzić na zaoraną ziemię. Zatrzymała się i popatrzyła jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– Niestety się dzieje synu, mój jedyny Anzymie, czy widzisz, co się dzieje z niebem? Czy to twej starej matce w głowie się miesza? – niemal wykrzyknęła, na jej obliczu malowały się niepokój i troska zarówno o własne jak i moje zdrowie.

– Matulu nie tak głośno. Gorąco dziś było. Widzę, że coś jest złe, lecz nie wołaj mnie na polu proszę, co będzie, gdy ktoś usłyszy.

– Bardziej martwię się o to, co się czai za Górami, niż o to, że ktoś spostrzeże jak cię nazywam – odparła poirytowana. – To mogą być czyny złych mocy, muszę się udać do świątyni i modlić o pomyślność.

– Mamo, to nie musi być kwestia wiary – rzekłem przekąsem. Moja matula była kobietą święcie wierzącą, ja zaś wołałem brać rzeczy na własny rozum i rozsądek.

Oboje przez moment przyglądaliśmy się niebu.

– Wracasz ze świątyni? – dodałem po chwili pytanie.

– Tak, pójdę znów, bo ledwie zasypiały moje małe cudaczki, a one jak wiesz synku, zawsze w południe chodzą spać. Czy to może być tak, że Słońce później wstało i jeszcze się wzniesie? – zastanawiała się na głos. Zdawało mi się że mogła mieć rację, ale...

– Nie wiem mateczko, popatrz chyba z wolna powraca ku ziemi – mruknąłem patrząc przez palce na bursztynowo-złotą tarczę.

Czy złe duchy mogły mieć z tym coś wspólnego? Nie wiedziałem. Może nikt nie spostrzegł, że noc trwała chwilę dłużej, a może trzeba było zacząć się martwić. Dopiero teraz dostrzegłem, że szare chusty Amali mają czerwony odcień, dokładnie taki sam jak zboże nazywane kłosakiem.

Amala była wtedy niewysoką panią w późnym, średnim wieku, złotych oczach i lekko posiwiałych, grafitowych włosach o niebieskim połysku. Po niej odziedziczyłem ów kolor czupryny.

– Mamuś skąd ta mąka? – wskazałem na skraj szaty.

– Ze strachu, synku. Potrąciłam dzban.

Zmarszczyłem brwi. Prawdopodobnie mówiła o pojemniku, w którym znajdowała się karma dla frin, stał u wejścia do domu.

Odwiódłem kobietę od pomysłu ponownego udania się do świątyni, wróciliśmy do wsi i do naszego małego domu.

Szybko zapadał zmierzch.

W ciszy, zasiedliśmy do obiadu, przy okrągłym, niskim stole, na poduszkach wypełnionych z trocin miękkiego drewna szelszy. Nie stać nas było wtedy na fotele nabijane puszystymi piórkami, albo piękne krzesła z bahatu, szlachetnego drzewa o pięknym bordowym połysku.

Choć uwielbiałem kuchnię mojej mamy, wcale nie miałem apetytu. Kręcący się na zewnątrz bezładnie ludzie i zwierzęta niepokoiли się, przez otwarte okna dobiegały nas różne rozmowy.

Jedni opowiadali jak Amala, o złych mocach, inni o katastrofie. Wszyscy bali się niezrozumiałych zjawisk i zachowania przyrody. Dzikie ptaki latały ponad naszymi głowami, pokrzykując w swoim języku: czas, śmierć, przeznaczenie, Słońce, wyruszajcie.

Ja sam nie wiedziałem co myśleć, ale nie obawiałem się czegoś, na co nie było ludzkiego wpływu.

Ledwie zapadła noc, a stało się to około trzech okresów godzinnych przed czasem, do każdego domu pukali chłopcy, zwołując ludzi na główny plac.

Tłum z pochodniami, lampionami, lampi, świecami i świecznikami ciągnął się długą kolumną i mieszał, aż wszyscy mogli się pomieścić w kole.

Wtedy to nasza społeczność została świadkiem zdumiewającej przepychanki między starszym bratem ze świątyni dobrych duchów, a młodym nauczycielem o nazwisku Rior. Szanownych panów przed okładaniem się pięściami powstrzymywał tylko wzrok zgromadzonych.

– Słońce gaśnie!!! – darł się na cały głos Brat świątynny.

– Wiemy! – odrzyknęło mu kilku rozbawionych łobuzów.

– Żałujcie za grzechy i módlcie się grzeszni ludzie, błagajcie o wybaczenie – I kilku staruszków, stojących przy podeście, rzeczywiście padło na kolana. Cieszyłem się, że mama do nich nie dołączyła.

– Przymknij się durny starcze – przerwał nauczyciel, przekrzykując Brata. – To naturalny okres mroku Słońce wchodzi w niego co tysiąc lat. Czytaj swoje księgi panie święty, tam wszystko zapisano. To powtarzający się cykl! Minie wyznaczony czas, a Słońce rozbłyśnie z nową siłą. Nie należy się martwić. Trzeba się na niego przygotować! – oznajmił tłumowi. – Zbierzemy zapasy żywności i będziemy czekać na wieści z miasta.

W tłumie rozległy się pytania: Jak długo? Gdzie tak pisze? Dlaczego nikt nas nie ostrzegł?!

– Panie Rior proszę nie decydować za mnie – uciszył nauczyciela rządcą. – Drodzy sąsiedzi. Nie będziemy biernie czekać wysłamy własnych ludzi do miasta. Dlatego was zwołałem! – Zwrócił się do wiejskiej braci.

Rządcą nosił imię Gladiel Rebenoch i pośród społeczności wsi Garendy odznaczał się wyjątkowo bystrym umysłem. Członkiem rady został w wieku osiemnastu lat, a główny urząd objął w trzy lata później.

Przez jakiś czas walczył na wojnach pod wodzą samego króla i powrócił jako bohater. Nikogo więc nie dziwiło, że jego miano oznacza: Mądrego strażnika.

Było to wspaniałe imię, a jego posiadacz był człowiekiem niecierpliwym, inteligentnym, na dodatek zapobiegliwym. Choć sam nie rozumiał co się wydarzyło, osądził, że nie ma czasu czekać bezczynnie, aż wybuchnie panika. Ludzi trzeba było uspokoić natychmiast, choćby po to by wiedzieli, że właściwa osoba znajduje się na właściwej pozycji. Cekał na nas z twarzą zatroskanego ojca i wiedzieliśmy, że nie udaje.

W czasie krótkiej przemowy, młody nauczyciel i stary Brat świątynny prawie rzucili się sobie do gardeł, usilnie forsując własną rację. Zostali rozdzieleni przez dwóch dużych chłopców. Dzięki temu Gladiel miał ponowną sposobność dojścia do głosu.

– Jak widzicie, bracia nie ma zgody co stało się z dniem dzisiejszym i czy to jeszcze potrwa. Nikt z nas nie wie, jak zakończy się ta przedziwna zmiana. Na razie nie ma powodów do obaw, ale nasz Brat mówi o prorocztwie Słońca i opowie wam wszystko jeśli udacie się z nim do świątyni. Dobrze Zefilisie? - Staruszek był chyba kontent. Chytra mina i zacieranie dłoni mówiły same za siebie: Więcej wiernych, zwiększą się datki. Przestał się szarpać i przyjął godniejszą postawę.

– Z drugiej strony pan Rior przedstawi wam swoje naukowe dowody w naszej szkole. Udajcie się tam przed lub po wysłuchaniu Brata.

Młody człowiek skinął z powagą, również błysk jasnych oczu wskazywał na zadowolenie z takiego rozwiązania. Zdradziły go tylko rozszerzone nozdrza, nadal był rozjuszony i prawdopodobnie, nie zostawi na kapłanie suchej nitki.

– O pozostanie na placu proszę ochotników, którzy chcą udać się do miasta najkrótszą drogą. Musimy za-

sięgnąć rady i tam. Pamiętajcie drodzy, że kurierzy otrzymają miesięczny zapas mąki i oleju dla rodziny z naszego ogólnego spichlerza. Resztę z was, sąsiedzi proszę już o rozejście się.

– Mało, nie warto – słyszałem szept bogatszych, gdy odchodzili z machnięciem ręki. Biedniejsi byli gotowi ruszać natychmiast by przebyć, dość niebezpieczną ścieżkę łączącą naszą Garendę z miastem Daritan.

Nigdy nie szedłem tamtędy, ale znałem złą opinię. Znaczna część drogi przebiegała przez lasy, siedlisko rozbójników i dzikiej zwierzyny.

Uznałem, że to moja szansa i czas by się wykazać.

– Mamo, zgłoszę się – powiedziałem, chwytając rodzicielkę za dłoń. – Proszę pozwól mi iść, wreszcie nie będziesz musiała się za mnie wstydzić.

Amala otworzyła i zamknęła usta. W jej oczach moje osiemnaście lat było niczym mgnienie, nadal miała mnie za bezbronnego chłopca, który musiał znieść wychowanie bez ojca.

– Synu, nie, proszę potrzebuję cię w domu. Dzieją się rzeczy niezrozumiałe, w takich chwilach rodzina powinna być razem.

– Mateczko, tu chodzi o moje imię.

– Nie potrzebujesz go, bo dla mnie zawsze jesteś i byłeś Azymem – szepnęła ściskając mocno moją rękę. Bałem się, że za chwilę na poczerwieniałym z emocji obliczu rodzicielki zobaczę łzy... albo dostanę w twarz. Amala dokładnie wiedziała czego pragnę i, że wszystko co chcę osiągnąć czynię, by mogła być ze mnie dumna.

– Mamo, chcesz bym się ożenił, miał dzieci, chcesz mieć wnuki. Fa Zatala... – błagałem niemal skomląc, musiała dostrzec jak bardzo mi zależy, ponieważ raz jeszcze spróbowała mnie zniechęcić.

– Niech inni jadą, my będziemy się modlić o pomyślność tej wyprawy.

„O nie” - pomyślałem - „już wolę spotkanie z rzezimieszkami niż wykłady w świątyni brata Zefilisa, stary klecha nadal ma mnie za opętanego.”

– Gdyby coś się stało... Zatala pomorze ci w zbiorach wczesnych owoców, a wu Uder będzie miał oko na zwierzęta.

– Coś się stało?! Ani mi się waży o tym myśleć – prychnęła i pacnęła mnie otwartą dłonią po czuprynie. – Mam swoje lata, ale nie jestem niedołączna synu, nie w tym rzecz – westchnęła, z naburmuszoną miną. Przypominała mi małą dziewczynkę, której ktoś nie chciał przyznać racji.

– Wiem mateczko. Chciałbym...

Przytuliłem ją i wskazałem na medalik, który pozostał jej po moim ojcu. Nosila tam kosmyk jego jasnych włosów.

– To tylko trzy dni drogi.

– Zgoda idź – wyszeptła z ciężkim sercem.

Pobiegłem jakbym otrzymał skrzydła.

Zwyczaj nadawania imion w moim rodzinnym kraju, czyli w Rad, był ważnym i skomplikowanym elementem życia.

Pozostał ponoć z czasów, gdy mężczyźni i kobiety żyli osobno, nie tworząc grup rodzinnych.

Łączyli się jedynie na kilka lat by odchować dzieci. Dlatego nadal tylko matka mogła dać imię córce, a ojciec synowi.

Przetrwał w formie tradycji, według której nadal żyje kilka najstarszych państw Świata Słońca.

Wielką ujmą dla dziecka była śmierć rodzica, jeśli nastąpiła przed ceremonią Nadania. Dla każdego młodego mieszkańca naszego państwa jest wielkim wydarzeniem i odbywa się zanim osiągnie on wiek szkolny. Imię musi być dopasowane do charakteru lub typowych zachowań nowego członka społeczności. Bez niego latorośl ma status niewiele wyższy niż udomowione, mówiące stworzenia, którym nigdy nie nadaje się mian.

Dlatego dzieci wcześnie osierocone lub półsieroty, jak ja nie miały szansy na przejście przez ceremonię.

Urodziłem się w czasie wielkiej wojny prowadzonej między państwami Nod i Kawarot, pewnego dnia moja matka poznała rycerza pochodzącego z Dalekiej Północy. Zakochała się w nim lecz ich związek nie trwał długo. Człowiek ów zginął przygnieciony swoim zwierzęciem bitewnym. Pozostawił ciężarną ukochaną, czekającą powrotu jego rychłego powrotu. W ostatnim liście zapewniał Amalę o radości z nadchodzącego spotkania, spodziewanego potomka i nadchodzącego zakończenia wojny.

Miał rację co do wojny, rok później ucichły ostatnie zamieszki, a partyzanci z Kawarot postanowili uciekać w góry. Czekala ich tam pewna zguba. Powstała nowa władza i wiele wspaniałych miast, przynajmniej tak podówczas słyszałem.

Jako jedyny we wsi nie posiadający imienia byłem obiektem zainteresowania lub niechęci, proporcje wynosiły około jeden do trzech. Moją szansą na poprawę sytuacji był wykup lub zdobycie imienia.

Precedens wykupu w urzędzie kosztował fortunę, którą chętnie bym zapłacił. Oczywiście, gdybym taką posiadał. Poza nieco wybrakowanym zazo w naszym domu nie było nic cennego. Zatem musiałem się wysławić, bowiem w chwili ważnego wydarzenia ludzie, którzy stawali się rozpoznawalni, choćby pośród jednej społeczności, mieli prawo zmiany imienia wybranego przy ceremonii Nadania na lepsze, a ci którzy go nie posiadali, by je otrzymać.

Nie dziwcie się mojej radości, gdyż wyjątkowo rzadko nadarzyła się szansa zyskać sławę.

Przecisnąłem się przez tłum zmierzający w różne strony wkroczyłem na podest z uniesioną głową.

Przed Gładielem rzędem stanęło około dziesięciu osób w tym syn mojego sąsiada, Erat i niepokorna córka samego rządcy.

Widziałem jak Uder wypycha na schody swojego pierworodnego, a chłopak ze wszystkich sił pragnął się wymigać.

Znałem Erata niemal od zawsze, mówiąc delikatnie, nigdy nie potrafiliśmy się dogadać.

Starszy człowiek, przechadzając się w tę i z powrotem, zaczął nas oglądać jak stworzenia wystawione na sprzedaż. Znał wszystkich we wsi, zapewne przywołał na pamięć imiona i ich znaczenie. Udawał, że nie widzi córki, z czym Destrofia nie potrafiła się pogodzić. Szczęśliwie zanim wywołała zamieszanie, albo urządziła pokaz hysterii, pod tytułem: Tato, ja chcę jechać do miasta!

Jeden z jej starszych braci, schwycił rozpuszczoną panienkę za ucho i zabrał gdzieś na bok.

Amala powiada, że w każdej dobrej rodzinie zdarza się czarna owca, albo zielony bandun, tak właśnie myślałem o Eracie i Destrofii.

Po chwili wiedziałem, że rządcą nie może odmówić mi uczestnictwa w tej przeprawie. Jednak nie mogłem iść sam, ponieważ w Daritanie urzędnicy nie przyjmą człowieka bez statusu społecznego. Zaciśnięm zęby, gdy Gładiel przystanął przy Eracie.

– Pójdzie tych dwóch chłopców – oznajmił głośno, wskazując dokładnie tak jak myślałem. Syn sąsiada z wrażenia wyciągnął palec z nosa i wyszczerzył się rzucając mi nieprzyjemne spojrzenie.

Chciałem wystąpić i powiedzieć, że dam radę i nie potrzebuję takiego towarzysza, lecz rządcą ubiegł moje zamiary. Przeprosił pozostałych ochotników i zwrócił się do mnie.

– Bezimienny, wiesz jak wiele ryzykuję pozwalając komuś takiemu, jak ty opuścić wieś?

Czułem na plecach wzrok mojej matki, która przedostała się przez plac akurat w chwili, gdy mężczyzna orzekał co nastanie.

– Wu Rebenoch, znałeś mojego ojca i wiesz, że nie ustępuję mu pod względem odwagi, chciałbym wreszcie zasłużyć na to, co mi należne – odparłem cicho, posłużyłem się wtedy zwrotem „wu” którym ludzie bezimienni winni byli tytułować wszystkich mężczyzn o nadanym imieniu.

– Rozumiem chłopcze i wiem, że nie raz ty i Erat toczyliście boje, jednak dla dobra sprawy powinniście pomyśleć ponad zwady. – Położył mi dłoń na ramieniu, co mogło być odebrane za niespotykaną poufałość, w stosunku do bezimiennych. Potem powiedział głośniej:

– Oczekuję od was dwóch, że staniecie na wysokości zadania i udowodnicie, że jesteście warci zaufania. Wyruszycie ze wschodem Słońca, a jeśli nie nastąpi o normalnym czasie, stawicie się zaraz po godzinie

prania gąsienic.

Gładiel najwyraźniej chciał nam dać lekcję i choć byłem okropnie zawiedziony, rozumiałem jego postawę, niestety miałem obawy, że Erat wszystko może pojąć opacznie. Wielka nadzieja podpowiadała, że ten lebiega nie pojawi się rano i trzeba będzie wywołać kogoś innego.

Ciemność przeminęła, nastała zwykła noc, zaświeciły gwiazdy, zapłonęła pani nocnego nieba, Luna. Sen przyszedł niespodziewany, lecz po raz pierwszy, tuż po tym jak zgasły poranne gwiazdy nie wzeszło Słońce.

Ponownie zapanowała ciemność tak głęboka, tak gruba i mięsista, jakby ktoś przykrył nasz świat ciężkim kocem. Nie znałem jeszcze takiej czarnej odchłani, nawet światło bijące z kominka nie docierało dalej niż do połowy izby.

W końcu nie wytrzymałem wstałem z łóżka przekonany, że już czas się zbierać i pobiegłem wyprać friny, jak się okazało ponad jeden okres godzinny wcześniej niż zwykle.

Amala, która obudziła się jeszcze zanim ja otworzyłem oczy, stwierdziła nawet, że jej ulubieńcy, małe, urocze cudaczki (nazywane w Rad udrokami) zostały zwiedzione. Nie przyleciały, w porze karmienia, choć według ich przyzwyczajień można spokojnie ustalać czas. Kładły się bowiem spać równo w południe, wstawały o północy, a jadły o świcie.

Na szczęście frinom wczesne pranie nie robiło różnicy.

Nie są to zwierzęta o przyjemnym wyglądzie ich długie, grube ciała o jaskrawoniebieskiej barwie leżą lub zwisają z desek na różnych poziomach w wilgotniej komórce.

Nie lubią ani Słońca, ani deszczu, bo dawno temu żyły głęboko w ziemi, ale w takich warunkach już się ich nie spotyka.

Są okropnie powolne i prawdopodobnie dlatego dały się wytępić różnego rodzaju podziemnym stworom, zdarzało się, że dwa gatunki kretów, hochuny i skrobile, podkopywały się pod komórkę i wyjadały friny.

Gąsienice te są pozbawione wszelkiej chęci do życia i nawet nie próbują się bronić. Ludzie nie jedzą ich mięsa ponieważ jest okropnie kwaśne, lecz znoszone przez nie jaja pasują do wielu różnych potraw.

Jednak by w ogóle zmusić frina do ich składania, należy go codziennie porządnie oklepać, czyli sprać, bez tego przestałby jeść, a nawet oddychać.

Oklepywałem długim kijem każdą po kolei, od głowy aż do ostatniego członu. Było to zajęcie nużące i męczące, więc każdego dnia wyobrażałem sobie, że walczę z kimś na miecze. Czasem przeciwnikiem był Erat, czasem niewyraźny obraz wysokiego człowieka w czarnym płaszczu, jednak najczęściej wyobrażałem sobie moją nauczycielkę czcigodną fa Jelis. Lepiej żebym nie opowiadał dlaczego przypomi-

nała mi frinę, ponieważ nie chcę umniejszać jej umiejętnością, ani świętej pamięci.

Dokończyłem dzieła przy bladym świetle lampy świetlikowej i miałem jeszcze chwilę by przygotować cyklówkę. Nie chciałem jechać na kapryśnym zazo, a skoro czas nagiął nie powinienem też iść pieszo.

Cyklówka to pojazd, który z grubsza przypomina połączenie małego wozu z rowerem. Jego lekka drewniana konstrukcja na czterech kołach przeznaczona jest dla jednej osoby. Trudno nią manewrować na boki ponieważ nie ma kierownicy tylko bloczki, którymi trze się o ziemię w zależności od wybranego kierunku, lecz na prostej drodze można się rozpędzić do prędkości banduna. Miałem nadzieję, że pewnego dnia, oczywiście gdy już zyskam imię, wystartuję w corocznych między-wiejskich zawodach. Pomyslałem o wyprawie jako wspaniałej okazji do pierwszego, prawdziwego treningu w tym roku.

Amala bardzo się martwiła, wycierała oczy i udawała, że nic się nie dzieje. Pociągała nosem i przybierała kamienną twarz, wiedziałem, że na swój ulubiony sposób próbuje zmusić mnie do rezygnacji z wariackiego pomysłu. Kiedy pakowała moją torbę musiała włożyć tam ciepłe ubrania, bieliznę na zmianę i jedzenia, tak dużo, jakbym się wybierał co najmniej na miesiąc. Przykazała, żebym nie rozmawiał z obcymi i przywiózł jej sadzonkę jakiegoś drzewka owocowego. Zostałem wyściskany, ucałowany i pobłogosławiony.

Zapiąłem przy pasie miecz mojego ojca, ostatni raz obiecałem być ostrożnym, a po kilku minutach znalazłem się pod domem rządcy. Niebo szarzało, lecz nadal nie było widać Słońca, a więc ciemność trwała w sumie sześć godzin trzy rano i trzy wieczorem.

Erat czekał, siedział na bandunie i uśmiechał się zawadiacko. Był ode mnie o rok starszy, dużo silniejszy, wyższy i przystojniejszy. W wieku dziewiętnastu lat zbudowany już jak dorosły mężczyzna, miał śniadą cerę ciemne włosy o rudym odcieniu. Uwagę przyciągały jego żółto-brązowe, a może bursztynowe jak słońce oczy.

Chciałbym dodać, że za nieprzeciętnym, niemal szlachetnym wyglądem Erata, szła również nieprzeciętna wiedza, czy mądrość, bo nawet jego imię oznaczało „Mądrego Następcę”, a więc wzór do naśladowania.

Niestety, musiałbym porządnie upaść na głowę, Erat był niewiele inteligentniejszy od warfiołków, insektów, które zwykły gnieździć się po strychach i starych szafach, ich jedynym celem życia było zjadanie drewna.

Chłopak jeszcze nie wiedział, że za swoją głupotę i brak ogłady, wkrótce zostanie ukarany, więc bezczelnie robił wszystko to, co mu się podobało.

Na przykład byłem pewny, że zwierz, na którego grzbiecie siedział nie należał do jego rodziny. To zna-

czyło, że musiał wykraść go od wu Grozdoga, który zajmuje się hodowlą bandunów. Od dawna marzyłem by zakupić u niego szczeniaka, lecz nawet moje oszczędności wystarczyłyby ledwie na wyjeżdżonego staruszka podobnego do tego, którego wykradł Erat. W każdym razie nie podejrzewałem żeby Uder udzielił błogosławieństwa synowi i kupił mu środek transportu.

Bandun miał siwo-błękitne długie futro, był wielkości kucyka, ale jak wszystkie stworzenia z tego gatunku najbardziej przypominał psa. Jego długi ogon niecierpliwie omiatał ziemię, prawdopodobnie już od dawna nikt na nim nie jeździł. Wiedziałem, że jeśli Erat będzie szafował, staruszek będzie służył krótko.

Chłopak, pomimo chłodnego poranka miał na sobie tylko koszulę i cienkie spodnie, na dodatek żadnego bagażu, nawet broni. Chyba myślał, że wybieramy się na wycieczkę.

– I co tam kaleko? Mamcia nie chciała puścić dzidzi z domciu? - rzucił pogardliwie w moją stronę. – Gdzie masz zazo? I co ty na wojnę się wybierasz? - wskazał na miecz, potem na mój plecak i torbę z jedzeniem - Czy rozbójnikom ucztę wieszysz, ha idiota, z tymi tobołami będziesz nas tylko spowalniał!

Zanim Gladiel wyszedł ze swojego domu zdążyłem tylko spąsowieć ze złości i pożyczyć w myślach by Erat spadł ze „swojego” banduna.

– Jesteście. To bardzo dobrze – powiedział, wręczając nam po węzełku z chlebem szelszowym, gotowanymi jajami frinów, zielonymi jabłkami bazelu i dwoma dzbankami wody oraz małym mieszkem z monetami. Eratowi podał dodatkowo zapieczętowane listy, potem z poważną miną wyjaśnił:

– Posłuchajcie, to są papiery dzięki którym wpuszczą was do miasta i pozwolą stanąć przed nadrzędcą Daritanu. Pilnuj ich dokładnie Eracie i doręcz bezpośrednio Razasowi Freo, a ty bezimienny postaraj się by w drodze nie ucierpiał twój towarzysz i listy. Wiem, że potrafisz posługiwać się mieczem, w razie potrzeby zrób z niego użytek. Postarajcie się wrócić jak najszybciej, ale nie zapomnijcie pytać ludzi w drodze i w mieście, każda informacja o stanie Słońca i dobra rada może się nam przydać.

Zdążyłem schować tobolek z jedzeniem do torby, ale Erat wyrwał mi z ręki otrzymane na drogę pieniądze.

– Panie Gladielu, zrobię to sam, bezimienny będzie mnie spowalniał. Dlatego biorę co mi się należy i wyruszam. Poza tym on wcale nie powinien nosić tego miecza, ta broń należała do osoby ze statusem – powiedział i nie czekając na niczyją reakcję wskoczył na banduna. - Wrócę niedługo! - krzyknął i pojechał.

– Dobre duchy, co to za urwis?! - stęknął rządcą. Popatrzył na mnie i na miecz. Poznał przedmiot, lecz machnął ręką.

– Freh... um... bezimienny, lepiej już ruszaj, zanim Erat ściągnie sobie na głowę co złego... ten wółkoń, zdaje się nigdy nie dorośnie... Młody proszę wróć cały i zdrowy, oby Tamaryndan miał was w opiece.

– Niektórym pisane jest umrzeć z głupoty... - zaśmiałem się z lekką goryczą, wiodąc wzrokiem za uciekinierem. Zrobiłem krok w kierunku cyklówki, ale zauważyłem jeszcze wzrok rządcy.

– Dziękuję wu Rebenoch, postaram się dowiedzieć jak najwięcej – obiecałem, a człowiek rozejrzał się podszedł do mnie i uściśkał po ojcowski.

– Twój rodzic uratował mi życie – szepnął. – Zgubiła go szlachetność, nie chcę żebyś podzielił jego los,

rozumiesz? Nie narażaj się znanadto, bo twojej matce pęknie serce.

Nie znalazłem słów by odpowiedzieć, skinąłem tylko i wsiadłem na pojazd.

Raz obejrzałem się za siebie, aby mieć pewność, że wrócę do domu.

Taki był początek podróży, w tamtej chwili serce trzepotało mi w piersi, jak motyl w siatce.

Nie mogłem się spodziewać, że mała przygoda zmieni się w całe życie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wierszybajka, dodano 02.07.2014 05:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.